

ANALIZY

Zdzisław M. Rurarz

POSTKOMUNIZM

- Co jest gorsze od komunizmu?
- Postkomunizm.

Tak oto rozpoczął swój artykuł pt. "They Used To Call Them Communists", opublikowany w niedzielę, 24 września br. w wielu pismach amerykańskich Tad Szulc, znany od lat komentator prasowy i autor wielu książek, w tym biografii Jana Pawła II, z którym rozmawiał po polsku, jako że wywodzi się z Polski.

Szulc, w sposób całkiem wyraźny, daje do zrozumienia, że najbliższe wybory prezydenckie w Polsce może wygrać Aleksander Kwaśniewski, czołowy przedstawiciel lewicy, i że właściwie nie ma co robić tragedii z tego powodu. Poza Republiką Czeską bowiem, komuniści, bez względu jak się oficjalnie nazywają, prawie wszędzie w tzw. krajach postkomunistycznych wygrywają wybory i nie bez powodu. Jacy są, to są, ale potrafią lepiej rządzić od nie komunistów i antykomunistów, ponadto ludziom w swojej masie gorzej się teraz wiedzie niż za komunizmu, a więc tym bardziej zapominają jego złe strony, a pamiętają te dobre. Ciągłe też potępianie w czambuł komunistycznej przeszłości zaczyna drażnić wielu ludzi, którzy wcale

pogorszenia się warunków życiowych przeszłość jawi się w bardziej różowych barwach, nawet jeśli kiedyś psioczył na nią.

Zresztą, co jest bardzo ludzkie, każdy człowiek wraz z upływem lat zaczyna idealizować przeszłość, choćby z tego prostego powodu, że kojarzy mu się ona z jego dzieciństwem i młodością, a te zawsze, poza nielicznymi wyjątkami, pozostają miłym wspomnieniem. W Polsce, przypomnijmy to, większość ludzi urodziła się i wychowała w PRL, większość też nie pamięta żadnego stalinizmu i innych "błędów i wypaczeń", a znajomość tych czasów z opowiadań, lektury i filmów, to nie to samo co doświadczenia osobiste.

Tak więc, sprawa jest bardzo złożona. Co więcej, PRL po 1956 r. była krajem, jak na ówczesne czasy panujące we "wspólnocie socjalistycznej", względnie tolerancyjnym. Ludzie już nie znikali tajemniczo z ulicy, nie siedzieli po więzieniach za byle co, a ponadto żyło im się coraz lepiej, choć oczywiście skromnie. W pewnym też okresie, w pierwszej połowie gierkowskich rządów, ludziom nawet żyło się zupełnie znośnie, co miało wpływ na ich samopoczucie, a w do-

wych kredytów. Jakoś skontaktowali się ze mną i zapytali o zdanie na ten temat. Powiedziałem im, że Polska gospodarczo leży i staje się po prostu niewypłacalna i niech, na miłość Boską, nikt nie pcha w nią nowych kredytów, gdyż całe pokolenie potem z nich się nie wypłaca!

Ależ gdzie tam, poleźli w inne miejsce i jeszcze naskarżyli na mnie, że jestem "czarnowidzem", z czego wynikły dla mnie poważne kłopoty, gdyż posądzano mnie o zdradzenie tajemnicy państwowej, czyli sytuacji płatniczej kraju...

A więc, różnie bywało z tą przeszłością i nie tylko sami Polacy mogli ją widzieć w różowym świetle. Inni też ją tak czasem widzieli i zaręczam, że żadnego komunizmu nikt wtedy na Zachodzie nie chciał obalać. Przeciwnie, nawet zachwycono się nim. Pamiętam jak po wybuchu "kryzysu naftowego", gdzie nawet w bogatej Szwajcarii był okresowy zakaz używania samochodu w niedzielę, podczas gdy rozpisywano się o taniości i obfitości benzyny w ZSRR i innych krajach jego bloku, moi zachodni koledzy patrzyli na mnie z zazdrością, że pochodzę z "lepszego świata"...

nie i zarządzanie, ale tak naprawdę nikt nad niczym nie panował i tak na dobrą sprawę nikt nie orientował się w rzeczywistym stanie sytuacji. Gospodarkę "upolityczniono" i "zideologizowano" do tego stopnia, że prawdziwego języka ekonomicznego już nikt nie rozumiał i nawet nie chciał go rozumieć i słuchać. A jeśli do tego dodać jeszcze względy strategiczno-wojskowe, o których zdecydowano w Moskwie, a nie w Warszawie i które od początków istnienia PRL kładły się wielkim ciężarem na jej gospodarce, to ówczesna rzeczywistość staje się jeszcze smutniejsza. W kraju szerzyło się ponadto kosmiczne marnotrawstwo, brakorobstwo na wszystkich szczeblach, od robotnika poczynając, a na dyrektorach i ministrach kończąc. Nikt też nie wiedział co dalej.

PRL nie umiała i nie chciała zbudować socjalizmu, ale jednocześnie nie zamierzała się zabierać za odchodzenie od niego i budowanie kapitalizmu. Zresztą, decyzje w tej sprawie nie zapadały przecież w Warszawie.

Tymczasem jednakże proste rezerwy wzrostu gospodarczego wyczerpały się, a przejście na tzw. wzrost intensywny pozostawało w sferze opowiadań.

Pisze o tym wszystkim dlatego, żeby

wiem, komuniści, bez względu jak się oficjalnie nazywają, prawie wszędzie w tzw. krajach postkomunistycznych wygrywają wybory i nie bez powodu. Jacy są, to są, ale potrafią lepiej rządzić od nie komunistów i antykomunistów, ponadto ludziom w swojej masie gorzej się teraz wiedzieć niż za komunizmu, a więc tym bardziej zapominają jego złe strony, a pamiętają te dobre. Ciągłe też potępienie w czambuł komunistycznej przeszłości zaczyna drażnić wielu ludzi, którzy wcale nie uważają, że przez dziesiątki lat żyli w jakiejś "czarnej dziurze", a nie w swoim państwie, które w końcu nie było takie złe w porównaniu z tym obecnym.

W każdym razie, Szulc jakby przygotowuje amerykańską opinię publiczną do powrotu komunizmu w krajach postkomunistycznych, choć co prawda nie musi to być konieczne komunizm w dawnym wydaniu. Tacy Kwaśniewscy na przykład, jak to daje do zrozumienia Szulc, to w końcu ludzie inteligentni, dobrzy fachowcy, a ponadto nie mający żadnych przestępstw w swoich życiorysach.

Wydoby Szulca zmuszają zatem do głębszych refleksji. Rzeczywiście, życie nie jest czarno-białe i zjawisko historyczne, jakim był i ciągle jest komunizm, a zwłaszcza "realny socjalizm", czy próba przekucia teorii w czyn, jest zjawiskiem bardzo złożonym. Dziś, kiedy już opadły dawne emocje, a nowe jeszcze nie są rozgrzane do białości, warto pomówić rzeczowo o tym zjawisku.

W ogóle zaś, to jakakolwiek dyskusja na temat komunizmu i postkomunizmu musi wychodzić z pewnych realiów życiowych. W Polsce na przykład, tylko 6 procent ankietowanych rodzin uważa swój obecny byt za lepszy od tego w czasach PRL, podczas gdy reszta uważa go za gorszy, albo taki sam.

Jeśli tak, to baza społecznego niezadowolonia jest potężna i stąd nostalgia za dawnymi czasami, może nawet nie powszechna, ale niewątpliwie silna. Ludzie ponadto mają krótką i selektywną pamięć, a w dodatku każdy człowiek, wraz z upływem czasu, patrzy na przeszłość w sposób zmienny. W przypadku poprawy bytu, swoją gorszą przeszłość uważa za jeszcze gorszą niż faktycznie nią była, a natomiast w przypadku

Tak więc, sprawa jest bardzo złożona. Co więcej, PRL po 1956 r. była krajem, jak na ówczesne czasy panujące we "wspólnocie socjalistycznej", względnie tolerancyjnym. Ludzie już nie znikali tajemniczo z ulicy, nie siedzieli po więzieniach za byle co, a ponadto żyło im się coraz lepiej, choć oczywiście skromnie. W pewnym też okresie, w pierwszej połowie gierkowskich rządów, ludziom nawet żyło się zupełnie znośnie, co miało wpływ na ich samopoczucie, a w dodatku szereg ran z przeszłości uległo już znacznemu zablźnieniu. W ZBOWiD spotykali się dawni przeciwnicy, często nawet zadzierzgając więzy przyjaźni między sobą, a partia komunistyczna, PZPR, etnicznie autentycznie polska, była w jakimś stopniu partią ogólnonarodową. Przecież za czasów Gierka szeregi PZPR wzrosły o ponad jedną trzecią, tj. o ponad milion dorosłych Polaków, co miało chyba jakąś wymowę. Podobnie było ze wzrostem członkostwa w innych "sojuszniczych" z PZPR partiach, stronnictwach i innych organizacjach. Polacy coraz częściej podróżowali po świecie, nie tylko do Bułgarii, ale także na Zachód, a sam Zachód zachwycał się gierkowską Polską. Sam pamiętam jak to po rezygnacji z doradztwa ekonomicznego u Gierka przybyłem do Genewy do pracy w ONZ. Zaraz mnie tam dorwano z propozycją, żebym wygłosił w miejscowym klubie ekonomicznym referat o polskim "cudzie gospodarczym"... Wiele musiałem się natrudzić, żeby projektodawców tej idei wyprowadzić z błędu.

- Jak to, mówi pan, że to wszystko się zawali? Przecież my uważamy, że Zachód może się od Polski wiele nauczyć! - krzyczano na mnie (bez skutku zresztą, referatu bowiem nie wygłosiłem).

Pamiętam też, również w Genewie, przypadkową rozmowę z grupą amerykańskich biznesmenów powracających z Polski:

- Ten wasz Gierek, to geniusz! Nasz Nixon, to kompletny idiota, a nasi ekonomiści są do luzu. Prawdziwi są tylko u was, w Polsce - krzyczeli jeden przez drugiego, nie dając mi dojść do słowa...

Ba, było też i tak, że delegacja bankowców jednego z poważnych krajów przybyła w końcu lat 70. do PRL z propozycjami no-

wzieli i zaręczam, że żadnego komunizmu nikt wtedy na Zachodzie nie chciał obalać. Przecież, nawet zachwycało się nim. Pamiętam jak po wybuchu "kryzysu naftowego", gdzie nawet w bogatej Szwajcarii był okresowy zakaz używania samochodu w niedzielę, podczas gdy rozpisywano się o taniości i obfitości benzyny w ZSRR i innych krajach jego bloku, moi zachodni koledzy patrzyli na mnie z zazdrością, że pochodzę z "lepszego świata"...

Prawda, dopiero w latach 80., najpierw Thatcher, a potem Reagan, zaczęli mówić inaczej. Mówić, ale w końcu nie robić, choć dziś opowiadają bajki na temat swoich wyczynów. Zresztą, Thatcher już ich dziś nie opowiada, ani Reagan też się potem nimi nie przechwalał. Jego "wojna gwiazd", która niby przyniosła NATO zwycięstwo w "zimnej wojnie", była przecież lipą od początku do końca, o czym wiedzieli amerykańscy fachowcy, a jeszcze bardziej sowieccy. Bzdury też wypisuje Carl Bernstein, że Reagan, Bill Casey i papież, dofinansowując działalność podziemnej "Solidarności", rozbili blok sowiecki i komunizm. Papież już się wyparł swojego udziału w tej operacji, a kilka milionów dolarów przeznaczonych na ten cel, głównie via brukselskie biuro "Solidarności", nie wiadomo nawet gdzie w końcu trafiło. Przecież szef tego biura, Jerzy Milewski, jest dziś doradcą od spraw wojskowo-politycznych u... Aleksandra Kwaśniewskiego! I czy to nic nikomu nie mówi?

Z drugiej strony jest też prawda, że Polacy, głównie robotnicy, ci tzw. wielkoprzemysłowcy, nie bez powodów zresztą, choć do dziś nie jest jasne kto naprawdę ich do tego zmobilizował i kto dał im "pohulać", wykazywali wiele chęci do zmiany istniejących porządków.

Co do samych porządków, to istotnie czas był najwyższy, żeby je zacząć robić. Dziś, kiedy to za PRL tęskni wielu ludzi, trzeba im przypominać, że działo się w niej źle. Opisałem to nawet pobieżnie w swojej książce "Byłem doradcą Gierka". PRL przecież, jak każdy zresztą inny kraj "wspólnoty socjalistycznej", miała szereg poważnych schorzeń, które wręcz groziły jej przedczesnym zgonem. Niby było centralne planowa-

nając, a na dyrektorach i ministrach kończąc. Nikt też nie wiedział co dalej.

PRL nie umiała i nie chciała zbudować socjalizmu, ale jednocześnie nie zamierzała się zabierać za odchodzenie od niego i budowanie kapitalizmu. Zresztą, decyzje w tej sprawie nie zapadały przecież w Warszawie.

Tymczasem jednakże proste rezerwy wzrostu gospodarczego wyczerpały się, a przejście na tzw. wzrost intensywny pozostawało w sferze opowiadań.

Piszę o tym wszystkim dlatego, żeby przypomnieć, że PRL była bardzo daleka od miana jakiegoś raj, choć jednocześnie żadnym piekłem też przecież nie była. Naród biologicznie odbudował się w czasie jej istnienia, ogólnie awansował pod względem materialnym i kulturalnym, a ponadto miał zapewnione jakieś minimum egzystencji i bezpieczeństwa socjalnego. Z zaspokojeniem natomiast bardziej wygórowanych aspiracji było już jednak coraz gorzej i PRL, podobnie jak cała "wspólnota socjalistyczna", nie była zdolna do tego.

Rzecz jednak w tym, czy odejście od dawnych porządków i próba budowania nowych cokolwiek rozwiązały w dziedzinie polskich aspiracji narodowych?

Otóż nawet zakładając, że budowa nowych porządków jest procesem autentycznym, a nie indukowanym w celach niezbyt jasnych, nikt przecież w PRL, z opozycją na czele, nie wiedział i nadal nie wie jak się zabrać do dzieła. Opozycja w przeszłości, "Solidarnosc" głównie, gdyż reszta nie bardzo się liczyła, nie wiedziała czego chce, albo miała tylko mgliste pojęcie o przebudowie istniejących porządków. W momencie jej rodzenia się w latach 1980-81 postulaty roszczeniowe absorbowały ją całkowicie. O niczym innym, a konkretnie jak naprawdę przebudować istniejące porządki, przecież niemal nie myślano.

A propos, w czerwcu 1981 r. byłem służbowo w Warszawie i po powrocie do Tokio spotkałem się z grupą biznesmenów japońskich. Namawiałem ich, żeby zainteresowali się Polską, inwestując w niej kapitał i dostarczając jej najnowszej technologii.

Niestety, goście moi uparcie milczeli, aż w końcu jeden zdobył się na odwagę:

ANALIZY

- Panie ambasadorze, przecież wasza "Solidarność" chce 40-godzinny tydzień pracy, podczas gdy nasz robotnik ma faktycznie 56-godzinny tydzień pracy i jeszcze uważamy, że jest za krótki. Żąda też olbrzymich podwyżek płac oraz innych świadczeń społecznych. Polska nie jest krajem atrakcyjnym dla wielkiego kapitału...

No właśnie, zryw strajkowy w Polsce, aczkolwiek oklaskiwany na Zachodzie, rozminął się całkowicie z nowymi trendami, które zaczęły się tam ujawniać. Margaret Thatcher, bożyszcze "Solidarności" i jej woźdza Lecha Wałęsy, w swoich pamiętnikach "The Downing Street Years", nawet słowem nie wspomina o Sierpniu 1980, choć pisze o wielu mniej ważnych wydarzeniach światowych tego okresu. I nie dziwota. Przecież swoje premierowanie w Anglii rozpoczęła właśnie od walki ze związkami zawodowymi. Podobnie czynił też prezydent Reagan, inné bożyszcze "Solidarności". Zachód, gdzie wielki kapitał stanął wreszcie na nogi i zaczął "globalizować" swój teren działania, zaczął się zmieniać w pole walki jak nigdy dotąd pomiędzy kapitałem a pracą co zaczęło się przejawiać w walce jego ze związkami zawodowymi, które akurat w Polsce zaczęły się na dobre rodzić i wychodzić ze swoimi roszczeniami.

Tak więc, "Solidarność" rozminęła się z nowymi trendami na Zachodzie, nawet o tym nie wiedząc, a Zachód, z oczywistych względów, z niewiedzy tej nie próbował jej wyprowadzać.

W ogóle zaś, to wyjście wtedy naprzeciw roszczeniom "Solidarności" prowadziło nie do demontażu socjalizmu, a jego faktycznego umacniania się, choć na ulicy wykrzykiwano co innego.

Potem, kiedy już doszło do "okrągłego

tycznie opierając się o decyzje "kontraktowego Sejmu" i nowo wybranego prezydenta Jaruzelskiego, III RP poszła na "terapię szokową" zaaplikowaną jej przez Sachsa-Balcerowicza. Rezultatem tego był gwałtowny spadek produkcji, inwestycji, jak też stopy życiowej ludzi pracy. Natomiast gwałtownie wzrosło bezrobocie, wszelkiego rodzaju przestępczość gospodarcza oraz spekulacja.

Co więcej, proces prywatyzacji, który zresztą rozpoczął się po cichu jeszcze przed rządami "Solidarności" i który miał być probierzem dokonywanej w Polsce transformacji gospodarczej, w myśl ubiegłowiecznych doświadczeń kapitalizmu, nigdy nie został narodowi wyjaśniony co do jego nieodzowności.

Prawda, wiele doświadczeń światowych wskazuje, że ogólnie mówiąc sektor prywatny jest ekonomicznie bardziej efektywny od sektora państwowego. Innymi słowami mówiąc, zamiana socjalizmu na kapitalizm powinna była pociągnąć za sobą zwiększenie tzw. produktywności dochodu narodowego.

Niestety, stało się inaczej. Zwolnienie z pracy prawie 3 milionów ludzi, jak też przesunięcie na przedwczesne emerytury dalszych 2 milionów, czyli wyłączenie z procesu produkcyjnego 5 milionów ludzi, którym trzeba było zagwarantować jakieś minimum egzystencji, obciążało nieprawdopodobnie budżet centralny, nie mówiąc już o tym, że Balcerowicz zafundował rolnikom ubezpieczenia społeczne, które owo obciążenie tylko zwiększyło. Sprawa byłaby jeszcze jako tako do strawienia, gdyby w tym czasie nastąpił wzrost wydajności pracy, jak też poszła naprzód modernizacja aparatu produkcyjnego. Niestety, nic takiego nie miało miejsca.

Co gorsza, skutek drakońskiej polityki

zatrzymał się w połowie drogi, a natomiast wygląda na to, że możliwość demontowania już rozpoczętej budowy kapitalistycznej jest z kolei całkiem prawdopodobna. Jak w końcu będzie, trudno powiedzieć, gdyż wiele zależy tu od napływu obcego kapitału i technologii, co jak dotąd idzie marnie. Inną niewiadomą jest też sprawa członkostwa Polski w NATO i Unii Europejskiej. Jeśli nic z tego nie wyjdzie, to zapoczątkowane w Polsce procesy przebudowy systemu mają bardzo niepewną przyszłość.

Co więcej, dla przyszłości Polski najważniejsze są wydarzenia za Bugiem. Jeśli bowiem Moskwa zdecyduje się na jawne odtworzenie jej "urlopowanego bloku", to dalsze przemiany w Polsce staną się funkcją tej decyzji. A czy postawi na odrodzenie się jakiejś odmiany komunizmu, czy kontynuację swojej odmiany kapitalizmu i demokracji, to nie ma to już większego znaczenia. Zostawiona z nią samą Polska będzie musiała zrobić to, co ona zechce. Za słaba jest na to, żeby mogła się przeciwstawić jej woli, a chętnych do pomagania Polsce w takim przeciwstawianiu się nadal przecież nie widać.

Mimo wszystko, nie wydaje się, aby ten dawny komunizm, "komunizm biblijny", powrócił na dawne pielesze. Co mądrzejsi Rosjanie już dawno dostrzegali bezsens marksizmu-leninizmu. Stając się faktycznie pseudo-religią, ze swoimi "pismami świętymi", "komunizm biblijny" nie mógł zatriumfować w świecie, podobnie jak żadna Biblia czy inne "pisma święte" nie zatriumfowały w nim mimo prób liczących sobie już tysiące lat. Żadnego systemu nie można zbudować w oparciu o zakłęcia i wierzenia. Życie rządzi się swoimi prawami i dobrze jest, jeśli

czas gdy płace realne spadły o 15 procent. W kraju tym także 40 procent majątku narodowego znajdują się w rękach 1 procenta społeczeństwa. Proces akumulacji bogactwa na jednym biegunie i niedzy na drugim, stał się dziś zjawiskiem powszechnym na całym Zachodzie, nie mówiąc już o Trzecim Świecie.

Co więcej, wielki kapitał prywatny, mimo nieprzerwanego pomnażania się, już prawie nie tworzy nowych miejsc pracy, a natomiast zaczyna eliminować już te istniejące, zwłaszcza dobrze płatne. Jest też bardzo możliwe, że kiedyś w przyszłości, w związku z procesem robotyzacji, automatyzacji, komputeryzacji, chemizacji produkcji i innych nie znanych nam jeszcze nowości, człowiek stanie się zbędny w produkcji, a nawet w wielu usługach. Pozostanie tylko problem dystrybucji produkcji, rzecz zupełnie nie mająca nic wspólnego z kapitalizmem, którego głównym zadaniem historycznym jest produkcja na rynek w oparciu o kryterium zysku. Kapitalizm, to synonim efektywności produkcyjno-handlowej, a nie działalności charytatywnej, czy sprawiedliwego dzielenia produktu społecznego. Do czegoś takiego znacznie lepiej nadaje się inny system, może nawet jakaś odmiana komunizmu, który w oparciu o kryteria społeczno-polityczne, o kryteria "według potrzeb", będzie jakoś dzielił taki produkt.

I wcześniej czy później coś takiego nastąpi, w sposób naturalny, a nie w wyniku "manifestów komunistycznych" i innych "dzieł klasyków", które utopię chciały zmienić na rzeczywistość i historyczną konieczność. W najlepszym przypadku było to grubo przedwczesne, a w najgorszym aberacja umysłowa.

W ogóle zaś, powracając znów do kon-

o tym nie wiedząc, a na Zachodzie, w oczekiwanych względów, z niewiedzy tej nie próbował jej wyprowadzać.

W ogóle zaś, to wyjście wtedy naprzeciw roszczeniom "Solidarności" prowadziło nie do demontażu socjalizmu, a jego faktycznego umacniania się, choć na ulicy wykrzykiwano co innego.

Potem, kiedy już doszło do "okrągłego stołu", to przecież nadal tak było. "Solidarność" miała długą listę roszczeń pod adresem władz i nawet nie przypuszczała, że wkrótce sama będzie musiała się z nich rozliczać. "Władza ludowa" bowiem, wiedząc już o swoim czasowym odejściu na z góry upatrzony pozycje, chętnie ustępowała żądaniom, licząc zapewne na to, że "solidarnościowe władze" wejdą wkrótce w konflikt z "roszczeniową Solidarnością" i stracą w masach poparcie. Jak wiadomo, tak się też stało.

Nie w tym jednakże rzecz. Bardziej ważną sprawą było zabranie się pod etykietą "Solidarności" za systemową przebudowę kraju. Ona sama bowiem o takiej przebudowie nie miała przysłowiowego zielonego pojęcia. Ani w czasach jej rodzenia się w latach 1980-81, ani w podziemiu, ani po jej ratalnym zmartwychwstaniu, nigdy przecież nie zastanawiała się jak naprawdę rządząby krajem w przypadku nadarzenia się takiej okazji historycznej. Prawda, tu i ówdzie, w kręgach ludzi "przyklejających się" do niej już od grudnia 1988 r., kiedy to zaczęły powstawać różne "komitety Lecha Wałęsy" i "obywatelskie", coś tam opowiadano o zbawczej i "niewidzialnej ręce rynku", ale tak na dobrą sprawę były to opowiadania na poziomie młodszych klas szkoły średniej.

Co gorsza, nikt też "Solidarności" o nic nie pytał, ona sama też o nic nie pytała i o niczym nie dyskutowała, nawet kiedy to niby miała już formalnie władzę, ani też jej wódz nie przejawiał żadnego zainteresowania co pod szyldem jego organizacji wyprawiali różni Mazowieccy, Balcerowicze, Syryjczyki, Paszyńscy, Kuczyńscy, czy takie obiecywały jak Jeffrey Sachs i jemu podobni.

W rezultacie tego, korzystając z domniemanego poparcia "Solidarności", a fak-

tycznie, obciążały budżet centralny, nie mówiąc już o tym, że Balcerowicz zafundował rolnikom ubezpieczenia społeczne, które owo obciążenie tylko zwiększyło. Sprawa byłaby jeszcze jako tako do strawienia, gdyby w tym czasie nastąpił wzrost wydajności pracy, jak też poszła naprzód modernizacja aparatu produkcyjnego. Niestety, nic takiego nie miało miejsca.

Co gorsza, wskutek drakońskiej polityki fiskalnej i monetarnej krajowe przedsiębiorstwa, zwłaszcza wielkie zakłady, stanęły w obliczu natychmiastowego bankructwa. Stąd też ratunku szukały w nie wywiązywaniu się ze swoich bieżących zobowiązań płatniczych, co doprowadziło do słynnych "zatorów" i gwałtownego ich zadłużenia. To zadłużenie właśnie utrudnia dzisiaj prywatyzację ponad 8 tysięcy państwowych przedsiębiorstw, jak też uniemożliwia im prowadzenie rachunku ekonomicznego z prawdziwego zdarzenia.

Na tym nie koniec, o ile w stosunku do kapitału zastosowano rynkowe kryteria, to tych kryteriów odmówiono sile roboczej, której cena, w postaci "popiwku", nadal podlegała ostrej reglamentacji.

Efekty tej awanturycznej polityki gospodarczej nie dały długo na siebie czekać. Całe zaufanie, jakie naród miał początkowo do rządów "Solidarności", wyparowało jak kamfora, o czym przekonał się Mazowiecki, przegrywając sromotnie w wyborach prezydenckich, jak też sam Wałęsa, który dwukrotnie musiał stawać do wyborów przeciwko nikomu nie znanemu Stanisławowi Tymińskiemu. W końcu wygrał je, ale nie wielką przewagą głosów, a biorąc pod uwagę frekwencję wyborczą, nie miał on mandatu społecznego na żadne reformy systemowe.

Innymi słowy mówiąc, zapoczątkowane w Polsce reformy szybko roztrwonily kapitał społecznego zaufania, czego kolejnym dowodem była gorzka przegrana "Solidarności" i innych partii wywodzących się z jej korzeni w wyborach do Zgromadzenia Narodowego we wrześniu 1993 r.

Powstaje więc pytanie - co dalej? Komunizm był zły, ale postkomunizm okazuje się jeszcze gorszy. Demontaż komunizmu

zanim jeszcze dostrzegli bezsens marksizmu-leninizmu. Stając się faktycznie pseudo-religią, ze swoimi "pismami świętymi", "komunizm biblijny" nie mógł zatriumfować w świecie, podobnie jak żadna Biblia czy inne "pisma święte" nie zatriumfowały w nim mimo prób liczących sobie już tysiące lat. Żadnego systemu nie można zbudować w oparciu o zakłęcia i wierzenia. Życie rządzi się swoimi prawami i dobrze jest, jeśli ktoś je tylko jako tako rozumie. Marksizm-leninizm sam się ogłosił, że wszystko już rozumie, dzięki tajemnej wiedzy w postaci dialektyki, a tylko potrzeba mu było nieco czasu na dowiedzenie tego w praktyce. Jak się to skończyło - już wiemy.

Z powyższego jednakże nie wynika, że komunizm jest już tylko historią. Ten "biblijny" z pewnością tak, ale ten "pragmatyczny" z pewnością nie. Kapitalizm powstał i jeszcze nadal istnieje nie dzięki dziełom Adama Smitha i Davida Ricardo, a dzięki temu, że był pragmatyczny, nie "biblijny". Komunizm dla odmiany, ten marksistowsko-leninowski, chciał się zbudować w oparciu o swoją własną biblię, czyli "dzieła klasyków", które na współczesnym etapie postępu nauki i techniki stały się bezprzedmiotowe. Nie oznacza to jednak, że tym samym kapitalizm osiągnął triumf nad komunizmem i to po wsze czasy.

Nie, tak nie jest. Kapitalizmowi grozi taki sam krach, jaki spotkał "biblijny komunizm". Nowy etap rozwoju nauki i techniki nie zostawia pola do działania ani jednemu, ani drugiemu. Podobnie jak nie zostawia takiego pola dla demokracji parlamentarnej.

Stąd też zabranie się przez Polskę, jeśli tylko szczerze, za budowę jednego i drugiego, jest już grubo spóźnione. Oba bowiem systemy, biblijno-komunistyczny i kapitalistyczno-demokratyczny, znalazły się w głębokim kryzysie.

Kapitalizm współczesny staje się coraz bardziej spekulacyjny, społecznie niesprawiedliwy, a ponadto po raz pierwszy od lat zjawisko tzw. bezwzględnego ubożenia świata pracy jest faktem. W USA na przykład, wydajność pracy na zatrudnionego wzrosła w latach 1977-92 o 30 procent, pod-

I wcześniej czy później coś takiego nastąpi, w sposób naturalny, a nie w wyniku "manifestów komunistycznych" i innych "dzieł klasyków", które utopię chciały zmienić na rzeczywistość i historyczną konieczność. W najlepszym przypadku było to grubo przedwczesne, a w najgorszym aberacja umysłowa.

W ogóle zaś, powracając znów do konkretnych spraw polskich, to w miarę budowy kapitalizmu Polska staje się coraz bardziej... socjalistyczna. Nie, nie żartuję. Mierząc dokonywane reformy obciążeniem produktu krajowego brutto z tytułu wydatków na cele społeczne, to obciążenie to jest obecnie o ok. jedną trzecią wyższe niż w czasach PRL! A stało się to już po "wyzwoleniu cen", 6-krotnym spadku wydatków na naukę, 4-krotnym na kulturę, 3-krotnym na opiekę zdrowotną i 2-krotnym na oświatę, nie licząc już podobnego spadku wydatków na obronę.

Cóż to więc za kapitalizm buduje Polska, który coraz bardziej obciążony jest wydatkami nieprodukcyjnymi? Na czym polega jego wyższość nad dawnym komunizmem, o którym sądzono, że on właśnie był zbyt obciążony takimi wydatkami?

Kończąc, nie widzę tragedii w umacnianiu się lewicy w Polsce, byle tylko była to lewica prawdziwie polska, nie sterowana jak dawniej z Moskwy, "nie biblijna", ortodoksyjna, a jednocześnie niedouczone.

Polska nie zbuduje żadnego kapitalizmu, ani też demokracji parlamentarnej. One się już przeżyły. Nie będzie też powrotu do dawniej znanego komunizmu, gdyż on także się przeżył.

A co przyjdzie na ich miejsce - jeszcze nie wiadomo. Życie podpowie właściwe rozwiązania różnych dylematów i tylko trzeba mieć oczy i uszy otwarte na takie podpowiadanie.

Od redakcji: W artykule Z. Rurarza "Trzecia wojna światowa" wkraśl się błąd przy jego przepisywaniu. Powinno być "w walce z konia", a nie "w walce z koniem". Przepraszamy.